

## **ŻYĆ CZY POŻYC SOBIE? ROLA TRADYCJI I KULTURY W KSZTAŁTOWANIU WIĘZÓW RODZINNYCH**

Przeglądając stare „Tygodniki Powszechne” znalazłem w jednym z numerów na Boże Narodzenie artykuł jezuita, ojca Jacka Bolewskiego. W artykule tym „Nowe święto stworzenia” autor przypomniał pewien ważny fragment listu Św. Pawła do Rzymian. Na początek naszych refleksji nad rolą kultury i tradycji w formowaniu więzi rodzinnych przytoczę ten fragment:

*Stworzenie bowiem z upragnieniem oczekuje objawienia się synów Bożych. Stworzenie bowiem poddane było znikomości nie ze swojej woli, ale dla tego, który je znikomości poddał w nadziei, że i samo stworzenie będzie wyzwolone z niewoli skażenia na wolność chwaty synów Bożych. Bo wiemy, że aż dotychczas rodzi wśród boleści. A nie tylko ono, ale i my sami, którzy mamy pierwiastki ducha, my także we wnętrzu naszym wzdychamy, wyczekując przybrania za synów Bożych, odkupienia ciała naszego(Rz 8.17-23).*

Teologiczna mądrość tego tekstu i jego aktualność ukazują mi się pełniej, kiedy próbuję zestawić pewien schemat logiczny na własny użytek. Oto jest *stworzenie*, wszystko co stworzone. My, ludzie, też jesteśmy stworzeniem. Jesteśmy jednak szczególną częścią - taką, której objawił się Bóg przez swojego Syna, Chrystusa. Tylko człowiek rozumie słowa, tylko człowiek, dzięki *pierwiastkom ducha*, może tak pójść za Słowem Bożym, za Logosem, za Chrystusem, że sam zostanie *przybrany za syna Bożego*, córkę Bożą. Syn, córka, to terminy z życia rodzinnego. U początków rodziny jest to, co wspólne ludziom i zwierzętom – rodzenie wśród boleści. W lutym spędziłem parę dni w rodzinie przyjaciół, podhalańskich gazdów. Trafiliśmy na czas, kiedy owce się koca, kiedy rodzą się jagnięta. Było coś przejmująco pięknego w tym jak cała rodzina Antołów uczestniczyła w tym tajemniczym święcie nowego życia. Każdej nocy wiele razy trzeba było zajrzeć do owczarni, czy nie trzeba pomóc rodzącej. Przy każdym posiłku rozmowa dotykała polityki, poezji, spraw społecznych, religijnych, rodzinnych, ale zawsze też był czas, aby porozmawiać o młodych jagniątkach, ich matkach.

Wydaje się potrzebne, aby duchowe, humanistyczne i teologiczne rozważania dotyczące rodziny miały w perspektywie także i ten, biologiczny, przyrodniczy wymiar. Rodzina to jest to, co zrodzone w bólach, a dopiero nad tym jest owa rodzinność zawierająca mniej lub bardziej obfite „pierwiastki ducha”.

Wzrastamy w rodzinach, rodzina kieruje nas ku zbawieniu, zjednoczeniu z Bogiem, rodzina ma formować tak kolejne pokolenia, aby czas ziemskiej próby owocował pojęciem i przyjęciem miłości Chrystusa, uczynkami dobra.

To nie jest jednak tylko nasza sprawa, to nie jest tylko nasze załatwienie sobie w rodzinie biletu do Nieba. Tego, abyśmy byli dobrzy jak Chrystus, potrzebuje świat - niebo i ziemia, góry i morza, zwierzęta, ptaki, ryby, drzewa i zioła.

Na Podhalu odwiedziłem dom pamięci księdza Józefa Tischnera w Łopusznej, w pół drogi między Tatrami a Gorcami. Z filmowego ekranu na pięterku popatrzył na mnie ksiądz profesor i powtórzył swoją głęboką myśl o tym, co jest najtrudniejsze w wychowaniu - skłonić człowieka, aby był prawdziwie wolnym. Łatwiej człowiekiem manipulować, kierować, prowadzić, uzależnić od siebie – a najtrudniej skłonić człowieka, aby był prawdziwie wolnym.

Najcenniejsze więc, co może wynieść człowiek z rodziny to dobre używanie daru wolności, to o czym mówi św. Paweł zwrotem *wolność chwały Synów Bożych*. Jeśli źle użyjemy naszej wolności, jeśli nie będzie to wolność godna chwały, piękny świat będzie *poddany znikomości*, będzie marniał, ginął i zikał. A wtedy i my będziemy ginąć, nie tylko duchowo. Tekst mówi przecież o *odkupieniu ciała naszego*.

Mało który fragment Pisma tak pięknie i jasno pokazuje tajemnicę solidarności między człowiekiem i resztą świata. Wielkie dyskusje o obronie życia nieprędko ucichną u nas, bo i problem jest ogromny i - niestety - ogromna okazja dla panów polityków z różnych stron, aby na siebie napadać. Skoro te dyskusje będą trwać, dobrze aby szły w głąb zagadnienia. Ocalenie biologicznego życia to ogromnie dużo. Ale wcale nie wszystko - co to za życie damy ocalonym, jeśli nie postaramy się o to, aby świat był dla nich dobry, ani o to, aby oni chcieli i mogli być dobrzy dla świata. Każde poczęte dziecko ma prawo się urodzić. Ale to nie wszystko - każde poczęte dziecko ma prawo objawić się stworzeniu jako syn Boży, jako Boża córka. Stworzenie tego *oczekuje z upragnieniem*.

Człowiek ma prawo żyć. A to znaczy – ma prawo do świata, ma prawo spotykać się ze światem. Ma prawo żyć, to znaczy także - ma prawo do życia wiecznego, do którego idzie się przez Objawienie. A objawienie, to nie tylko Ewangelie, Biblia. W piątej Ewangelii, w zielonej księdze przyrody Bóg przemówił do człowieka mądrością bez słów. I do swojego

udziału w tej mądrości ma prawo przychodzący na świat człowiek. Zieloną księgę przyrody musimy chronić dla ludzi, musimy też uczyć ludzi – jak się ja odczytuje. To musiałem powiedzieć przed tym, zanim powiem, że skoro przychodzący na świat człowiek ma prawo do życia, to ma prawo do pełnego życia, do podjęcia swojej części spuścizny kultury, ma prawo do udziału w życiu kultury. Ma prawo do tego, żeby był pełnym człowiekiem, a więc twórcą.

Kontekst, w jakim rodzina trwa jako twór biologiczny i wspólnota duchowa, to dzisiejsza cywilizacja, którą opisuje się jako cywilizację spektaklu – spektaklu na cześć towaru. Świat eksplodujący, rozsypujący się na okruchy i momenty, jest dziełem człowieka. Syta cywilizacja Zachodu przeżywa narastający strach przed obcym, imigrantem, terrorystą, barbarzyńcą. Sami sobie zgotowaliśmy ten los. Nasza gospodarność coraz częściej zamienia się w chciwość, potrzeba bezpieczeństwa w egoizm, ciekawość i rozumność poznania w pychę uczonych, umiłowanie piękna w cynizm artystów.

Wiarę podnoszącą człowieka coraz powszechniej wymienia się na wiarę redukującą człowieka do konsumenta tego, co może kupić za pieniądze. Nie zbawienia się czeka, a koniunktury. Nie chce się żyć, chce się pożyć. Człowiek ma prawo do życia, współczesna cywilizacja przy wielu okazjach kusi go, aby to prawo do życia wymienił na prawo do pożycia sobie. A to oznacza wymianę rzeczywistej godności o wymiarze metafizycznym - *wolności chwały Synów Bożych*, na złudną obietnicę przyjemności o wymiarze rynkowym.

Aby pojąć, że taka transakcja może być katastrofą spróbujmy na sprawę spojrzeć od strony pewnych stałych potrzeb czy predyspozycji mózgu. Technologie bowiem radykalnie zmieniły i zmieniają świat, ale w minimalnym stopniu zmieniły nas samych i tak szybko nie zmieniają. Inżynieria mentalna póki co nie istnieje. Francis Fukujama pisze wprawdzie o inżynierii mentalnej w „*Końcu człowieka*”, ale widzi raczej jej potencjalność niż skuteczną istność. Uformowały nas setki tysięcy lat początków człowieczeństwa, potem już ewolucji zwyczajnie zabrakło czasu.

W dalszym ciągu dziedziczymy więc mózgi łowców-zbieraczy. W konsekwencji potrafimy zachowywać się prawdziwie inteligentnie i odczuwać prawdziwe szczęście tylko w takich sytuacjach, z którymi mieli do czynienia również nasi przodkowie polujący oszczepami, zbierający skorupiaki, małże, bulwy, ziarenka. Współczesna rodzina – dzięki inercji mózgu zakorzeniona jest w sytuacjach plemiennych rodzin sprzed wielu dziesiątków lat. Siła i jedność rodziny kształtowała się nie tylko podczas wspólnej pracy, w większym jeszcze czasie podczas czasu wolnego.

Czy nasi pra-pra-przodkowie mieli czas wolny? Mnóstwo. Co do tego antropolodzy i etnologowie są zgodni. Dla fazy zbieracko-łowieckiej, której tysiącletnie uwarunkowania nadal

kształtują seryjną produkcję mózgow, paradygmatyczną realizacją sytuacji wolnego czasu było doświadczenie ucztowania. Ucztowano, gdy już zaspokoiono pierwszy zwierzęcy głód, gdy minęło to zmęczenie, które zwała z nóg.

Wtedy skupieni wokół ognia, patrzący sobie w oświetlone dobrze twarze bezpieczni współplemieńcy przeżywali swoje slow food, a prócz jedzenia było tam miejsce na rozmowę, flirty, występy opowiadaczy. śpiewanie, taniec. Kształtowały się hierarchie nie oparte na przemocy, ale na porządku – to według tego porządku rozdzielano smaczne kęsy, według tego porządku zajmowano miejsce najpierw wokół ogniska, potem wokół stołu. Według porządku zabierano głos w formujących się rozmowach –do dziś w ucztach ludów Kaukazu takiego porządku toastów strzeże *tamada* – gospodarz uczy. Opowiadano wypadki bieżące i sny, kreowano pierwsze mity, inscenizowano je w rytuałach. Dla każdego z uczestników uczt to był „czas, który mam dla siebie” i zarazem „czas, który mam dla ciebie, dla was”. Życie było w uczcie, przerywała ją senność, głód, napad obcych, konieczność zdobycia nowych zasobów. Trzeba było coś zrobić, aby wrócić do uczy.

Kiedy Bóg wszedł w tak uformowane społeczeństwo, rozpoczął od uczy w Kanie, rozstał się na uczcie w Wieczerniku. We Mszy Św. to zostało – Liturgia Słowa i Ofiarowanie i Uczta Stołu Pańskiego. Elementy rodzinnej wspólnoty złączonej pokojem, elementy porządku, piękna, narracji i śpiewu. To, że jeszcze dla Rzymian czasem właściwym, prawdziwym, pełnym, był czas wolny, czas na ucztę świadczy przechowana w języku dychoomia otia/negotia - praca, zajęcia, były czymś negatywnym, przeszkadzającym.

Ze zmianami w technologii i strukturze cywilizacji łączyło się odchodzenie naturalnego gospodarowania i zastępowanie go ekonomią działającą według procedur, ubywało przestrzeni ludzkiej zorganizowanej plemiennie, potem zaczął się kurczyć zasięg relacji rodzinnych. Pojawiły się takie spotkania czasu wolnego, które można uznać za zaprzeczenie czy karykaturę uczy - „business lunch”, przyjęcie oficjalne, albo degustacja towaru w supermarkecie. To dla tych, których modele życia bliższe są pracoholizmowi. Dla większości pozostałych taką namiastką-karykaturą jest wieczór w knajpie albo rodzinne oglądanie serialu o rodzinie. Oglądanie meczu w TV staje się surogatem opowieści o mitycznym bohaterze.

Najbardziej podobne do prawzoru plemiennego uczy współczesne doświadczenie to niedzielny obiad rodzinny, wieczorne spotkanie przyjaciół w jadalni górskiego schroniska, albo prawdziwie rodzinna wieczerza wigilijna.

Późniejsze doświadczenia gatunku ludzkiego niewiele dodały nowych formuł czasu wolnego do wzoru uczy. Osobną formułą jest samotna kontemplacja piękna natury czy

sztuki, albo bezinteresowne, nie będące przygotowaniem profesjonalnym studium wiedzy, za trzecią wreszcie można uznać spacer łączący świadome zanurzenie się w krajobrazie z rozmową, spacer parypatetyczny, za czwartą uprawianie ćwiczeń fizycznych często połączonych ze współzawodnictwem.

Nie chcę w tym tekście wyważać otwartych drzwi. Nie trzeba rozwodzić się długo nad tym, że rodzinę łączą na równi wspólne wspomnienia, rodzinne albumy zdjęć, jak wspólnie przeczytane i przegadane książki, wspólnie obejrzone i ocenione spektakle i wystawy. Rozwój technologii i mediów sprawił, że rodzice przestają być autorytetami w dziedzinie rozumienia powierzchownie pojmowanej współczesności, to dzieci sprawniejsze są w obsłudze komputera i penetrowania internetu. Stąd trzeba, aby rodzice dbali o swój autorytet przewodników po rodzinnej bibliotece, po rodzinnym archiwum, po drzewie genealogicznym rodu. Trzeba sobie zdać sprawę, że lata wojny i stalinizmu były latami dewastacji rodzinnej pamięci i rodzinnego obyczaju – potrzebą doby obecnej jest więc nie tyle kontynuacja ile odbudowa wszystkiego – archiwów i obyczaju rozmowy, zbiorów pamiątek i umiejętności zaciekawienia młodych przeszłością. Trzeba sobie zdać sprawę, że rodzinna duchowa i materialna potrzeba bycia razem zderza się z imperatywami rynku i polityki, które chcą mieć młodych dla siebie, młodych kupujących i konsumujących według dyktatu, młodych demonstrujących i głosujących wedle potrzeb polityków.

Czytam, co w swoim „Społeczeństwie spektaklu” napisał o nas Guy Debord, przedzieram się przez jego postmarksistowski żargon, bo warto, rozprawa napisana czterdzieści lat temu jest dziś dużo bardziej aktualna niż wtedy. Tańczymy ten sam taniec. Kiedy nas uczono pierwszych kroków i obrotów, u nas była jeszcze sytuacja centralnie planowanego niedostatku, dziś raczej chcą, abyśmy pływali wokół bałwana towaru, ale już w sytuacji nadmiaru. To w tej sytuacji odczuwamy, jak rynkowe procedury globalizującego się społeczeństwa spektaklu próbują zawłaszczyć cztery stare paradygmaty wolnego czasu – ucztę, kontemplację, sport i spacer. Personalistyczna, a więc metafizyczna wartość tych paradygmatów zamieniana jest na towar, na spektakl publicznego konsumowania, na ostentacyjną konsumpcję, która jest promocją samej siebie. Sport kibiców, przekupnych sędziów i chemicznego dopingu ma tyle wspólnego ze sportem prawdziwym ile degustacja w supermarkecie z rodzinnym ucztowaniem. Te procedury konsumpcyjne osobników wyrwanych ze środowiska rodzinnego nie tylko okradają ich z duchowości, odgradzają od Boga. One po prostu produkują ludzi nieszczęśliwych i samotnych.

Peter Sloterdijk, modny, a może też istotnie ważny filozof niemiecki, przedstawił swoją ocenę tej sytuacji w rozmowie z Maciejem Nowickim (Europa, Dziennik 27.01. 07).

Według niego frustracja zwyciężających w wyścigu konsumpcji jest równa frustracji odrzuconych i wydziedziczonych. „Każdy porównuje się z każdym. I każdy znajduje kogoś - a nawet wielu – kogo sytuację uważa za lepszą. Dlatego ilość powodów do zadowolenia okazuje się zawsze mniejsza od ilości powodów do niezadowolenia. Tej asymetrii nie jesteśmy w stanie wyeliminować.” Sloterdijk pisze o bogatej wielkomiejskiej Europie i dowodzi, że ci mieszkańcy „Kryształowego Pałacu”, rozpieszczone dzieci dobrobytu, to skazańcy, których przeznaczeniem jest wulgarność, mizantropia, pesymizm - a przede wszystkim wzajemna zawiść i wieczny lęk.

„Kryształowy Pałac” z rozważań Petera Sloterdijka i prawdziwy rodzinny dom to dwa przeciwstawne bieguny organizacji życia. Pokusy „Kryształowego Pałacu” są nachalne, kolorowe, posługujące się mitami, obietnicami szczęścia, erotyką, całą siłą mechanizmów promocji. Dom proponuje bezpieczeństwo, ciepło, miłość, ale przemawia cicho. W wychowaniu i samowychowaniu trzeba uwzględnić tę asymetrię, tę dysproporcję. Trzeba szukać pomocy w modlitwie, trzeba ufać siłom kultury wysokiej. Dom ma swoje ukryte siły, kultura sprawia, że potrafimy je wyzwolić. Pod dachem rodzinnego domu znajdzie się miejsce na wspólnotowy posiłek, na świąteczną ucztę z okazji imienin, czy jubileuszu, kontemplację poezji czy muzyki, studium prawdy Objawionej czy naukowej. Z tego domu wyruszać można na spacer z rozmową serio. Gdy rzecznicy społeczeństwa spektaklu proszą do tańca wokół towaru, można grzecznie odmówić.

Ten dom wpajać powinien synom i córkom, wnukom, przeświadczenie, że rodzina to nie tylko związani bezpośrednim pokrewieństwem ludzie, ale także książki, pamiątki, wspomnienia. Rodzina jest rodziną, gdy należą do niej także kręgi przyjaciół, dalsi krewni, gdy żywe jest w niej poczucie solidarności, misji zewnętrznej. Bo za oknem rodzinnego domu są nie tylko migające pokusy „Kryształowego Pałacu” jest także szara rzeczywistość „odsuniętych od stołu życia” (kapitałne określenie Marii Dąbrowskiej, pisarki), świat bezrobotnych, uchodźców, mieszkańców bidonville i faveli. Ich globalne społeczeństwo nie potrzebuje, oni nie produkują i nie konsumują, są skazani na bycie poza czasem, tęsknią za przestrzenią bogactwa utożsamiając ją z utraconym ucztowaniem niemożliwym w nędzy i głodzie, przybierającym karykaturalne formy w sferach niedostatku. Czy rodzina zapominająca o nich jest pełną rodziną – w rozumieniu pełni łaski, pełni życia?

Tam, gdzie mówiłem o *wyzwoleniu z niewoli skażenia na wolność chwały synów Bożych*. powoływałem się na słowa Księdza Profesora Józefa Tischnera. W zakończeniu przypominę innego Księdza Profesora – Janusza Stanisława Pasierba. Chcemy, aby poprzez poczucie ciągłości i szacunek dla rodzinnej i narodowej tradycji wkraczała pod dachy naszych

domów historia. Pasierb pisze o historii w czasie terażniejszym. Błyskotliwy, erudycyjny esej o kulturze religijnej Odrodzenia (w tomie „Miasto na górze”) odsłania nam korzenie współczesności. Kiedy Pasierb pisze „Walka między religią ukrzyżowanego Chrystusa a pogodnym moralizmem humanistów była właściwie nie do uniknięcia” to przekracza nie tylko czas, do którego odnoszą się te słowa, przekracza także swój czas, zwraca się ku mojej współczesności, naszej przyszłości.

Z „pogodnego moralizmu humanistów” wywodzi się najtrudniejsze zło naszych czasów – zło ciasno splecione z dobrem i pięknem, przyzwolenie na zło wspierane argumentami o prawach człowieka, wolności, tolerancji, swobody twórczości artystycznej, swobody badań naukowych. Z „pogodnego moralizmu naszych czasów” wywodzi się zło najbardziej nieuchwytnie, przezroczyście – przyzwolenie na to, aby uwolnić człowieka od ograniczeń moralności i obyczaju, aby uwolnić go od argumentu metafizycznego i eschatologicznej perspektywy, aby pozwolić mu się rządzić klarownymi kategoriami przyjemności, korzyści, bezpieczeństwa. To przezroczyście, dziwne zło rozbraja człowieka, czyni go bezbronnym wobec manipulacji „społeczeństwa spektaklu” pod pozorem wyzwolenia.

Co robić, aby przekonać tak wyzwolonego człowieka, że potrzebna mu jest „religia ukrzyżowanego Chrystusa?”

Przywoływana przez Pasierba wizja człowieka i jego świata wartości może być kamieniem probierczym przy ocenianiu dzisiejszych dylematów, ich transformacji. Czy utylitaryzm, technologiczna skuteczność, rynkowa opłacalność czy demokratyczna opcja większości, mogą stawiać człowiekowi jedyne istotne godne współczesności drogowskazy?

„Troska o świat, który tylko człowiek, wciągając w orbitę własnej nieśmiertelności, może ocalić, to przecież uczestnictwo w kapłańskiej funkcji Zbawiciela, naszego Boga” – pisze ksiądz Janusz Pasierb w eseju *Absolutna przyszłość kultury* z tomu *Miasto na górze*. I dodaje – „Trzeba tu podkreślić także profetyzm sztuki. Świadomie tak często mówię o sztuce mówiąc o kulturze, przecież jest ona – jak pięknie powiedział Elzenberg „sercem serca kultury”, w niej, jak na modelu, najjaśniej widać całą anatomię kultury. Profetyzm ten polega na tym, że dopiero twórczość artystyczna pozwala przemówić milczącemu światu. Tylko człowiek może interpretować świat jako twór „mający coś do powiedzenia”. [...] Z tych tęsknot i pragnień „ocalenia od zapomnienia” powstają dzieła sztuki, rodzi się kultura, stanowiąc wyrazistszy niż technika przykład spirytualizacji materii.[...] Warto się zastanowić nad zjawiskiem opanowywania materii przez ducha.”

Trzeba więc czytać Pasierba, gdy chce się człowiekowi czytać Pasierba, gdy staje się wobec pytań, wątpliwości i zagrożeń współczesnego świata. Gdy potrzeba światła, rozeznania, rady, warto jest zasiąść nad Pasierbem, bo wiele od niego można otrzymać. Jego myślenie rozwija to, co św. Paweł nazwał tak celnie „pierwiastkami życia”. Warto głośno przeczytać w rodzinie wiersz czy fragment eseju – jako część rozmowy, wprowadzenie do rozmowy. Wiersze Pasierba stawiają takie pytania, na jakie ten sam autor próbował odpowiedzieć w swoich esejach. I to właśnie powinno być argumentem aby do rozmaitych rodzinnych lektur włączać eseje i wiersze Księdza Profesora Pasierba. Jako główny argument za tymi lekturami uznać muszę dojrzałość tego pisarstwa. Społeczeństwo spektaklu nie chce dojrzałych ludzi, wspiera infantylizm myśli, wieczną niedojrzałość, nieodpowiedzialność, narcyzm. Zdarza się coraz częściej, że dzieci opuszczają rodzinny dom nie osiągając dojrzałości, zakładają rodziny – skazując na niedojrzałość swoją miłość i swoje dzieci.

Kultura wysoka musi mieć dojrzałych odbiorców i wychowuje ich.

Jest wśród wezwań Litanii Loretańskiej i takie, które Bogarodzicę nazywa „domem złotym”. Gdy słyszę „Domie złoty” to nie tylko oddaję cześć Tej, która stała się złotym czyli królewskim Mieszkaniem dla Swojego Syna w momencie Zwiastowania. Myślę o wielu domach, które dobroć matek i ojców, ich roztropność i wiara zamieniają na mieszkanie Chrystusa. Te domy naprawdę złocić się będą w pamięci dzieci i wnuków, tak jak w mojej pamięci złoci się mój rodzinny lubelski dom.